

Wspomnienia z dzieciństwa (cz. 5)

Przeprowadzka na Ukrainę.

Zofia-konsul

Po zawarciu umowy Sikorski-Stalin znaczną część Polaków zwolniono z gułagów, by mogli zgłosić się do armii polskiej. Pewnego dnia wracam do domu i widzę, że na pryczy siedzi dziadek Czesław Dąbrowski. Błady jak pergamin, tylko wąs mu się nie zmienił. Zamiast się ucieszyć, dostałem histerycznego szlochu. Może z powodu bólu rozłąki, ale przez parę godzin nie mogłem się uspokoić. Po wyjściu z gułagu dziadek przyjechał do Szortandy, aby zgłosić się do Armii Andersa. Miał wówczas pięćdziesiąt dziewięć lat. Po jakimś czasie wyjechał z wojskiem przez morze Kaspijskie do Teheranu. Nigdy go już więcej nie zobaczyłem. Po wojnie ktoś przysłał nam jego zdjęcie. Ubrany w mundur szeregowca, stoi przy cmentarzu wojskowym w Tel Avivie. Niedługo potem, w 1944 roku, sam został tam pochowany. Zmarł na tyfus.

Nastąpiło kilka miesięcy radosnej, patriotycznej euforii. Matka zostaje pełnomocnikiem rządu polskiego na obszar sowchozu i kilku innych miejscowości. Otrzymaliśmy przydziały z UNRRA¹ dla Polonii, matka zajmowała się ich dystrybucją. Pamiętam świetne konserwy rybne, amerykańskie

makrele... cudowne rzeczy! Były też koce i *battledressy*, czyli kurtki, mundury. Dla dzieci były one za duże, ale kobiety umiały je przerabiać, więc człowiek chodził w takich *battledressach*. Polacy wzmocnili się w poczuciu własnej wartości. W sowchozie powstał nawet zespół tańczący krakowiaki. Czuwały nad tym babcia i jakaś pani.

Mama udała się do komisji poborowej Armii Andersa w Szortandy. Pragnęła zaciągnąć się i nas wszystkich wywieźć. Była bardzo surowa zima, przyszła zamieć. Mama jechała saniami ciągniętymi przez konie. Po jej prawej stronie siedział gruby buchalter sowchozu, pan Wysockij. Oboje byli w szubach, prócz tego okryci rozmaitymi *tulupami*, skórami... Gdy mama wróciła, okazało się, że ma odmrożenie drugiego stopnia całego lewego boku! Z prawej strony grał ją ów towarzysz podróży, ale szuby i okrycia nie zabezpieczyły jej lewego boku. Ona nie zdawała sobie z tego sprawy, bo człowiek nie czuje odmrożenia, dopiero potem.

Do armii mamy nie przyjęto. Choć w sensie zdrowotnym kontynentalny klimat Kazachstanu dobrze jej służył, dyskwalifikowała ją przedwojenna gruźlica. Wszela-



Czesław Dąbrowski jako żołnierz Armii Andersa

ko ujawnili się dawni koledzy ojca, wśród nich mój chrzestny. Zaproponowali nam dołączenie do grupy cywilów przy wojsku. Nadchodziły jednak alarmujące sygnały, że w drodze do Persji ludzie mrą w wielkiej liczbie z chorób i niedożywienia, szczególnie dzieci. Ostatecznie matka nie zdecydowała się wyjechać z armią. W tym czasie odnalazła nas w Kazachstanie siostrzenica dziadka Dąbrowskiego, Anka Jaroszewicz. W 1939 roku w Białymstoku zwinęło ją NKWD. Anka miała wtedy piętnaście lat. Wywieziono ją – zdaje się, w mundurku gimnazjalnym – na roboty do Altajskiego Kraju. Po umowie Sikorski-Majski Anka odnalazła nas przez Czerwony Krzyż. Otrzymała zgodę na połączenie się z rodziną i przyjechała do Kazcyka. Kiedy nadszedł pobór do wojska, wraz z dwoma koleżankami wybrała się do Szortandy, by wstąpić do armii. Ale znów zwinęło ją NKWD i całą trójkę ciupasem odesłali z powrotem. Teoretycznie można się było zgłaszać, ale panowie z NKWD często decydowali, kto może, a kto nie może dostąpić takiego zaszczytu. Szczególnie młodych chętnie zatrzymywano w Sowietach.

Po krótkotrwałej euforii patriotycznej wróciła ciemna noc. Matki do wojska nie przyjęto, zostaliśmy bez nadziei. Dochodzą nas słuchy, że Armia Andersa już odpłynęła. Pograżamy się w apatii. Nadzieja wraca dopiero z pojawieniem się Związku Patriotów Polskich w ZSSR. Otrzymujemy pisemko Wandy Wasilewskiej pod tytułem *Wolna Polska*. Anka Jaroszewiczówna szybko dostaje kartę powołania do wojska nad Oką. Zostaje wciągnięta do batalionu fizylierek, straszne dla kobiet? Gdy po dojeździe do Warszawy w czterdziestym piątym roku ów batalion został zdemobilizowany, Anka natychmiast spaliła wszystkie swoje odznaczenia. Umknęła z pola widzenia, zaszyła się gdzieś w Szczecinie. Kiedy po pewnym czasie rodzina ją odnalazła, stwierdzono, że ma schizofrenię, rezultat nieleczonej psychozy reaktywnej. Tak się to skończyło to dla Anki.

*

Było wielką ironią, iż wciągnięcie Anki Jaroszewiczówny do armii nad Oką okazało się pewnym dobrodziejstwem dla nas. Rodziny tak zwanych Kościuszkowców – wyłącznie te rodziny – dostały specjalne zezwolenia na przeniesienie się na Ukrainę, dla polepszenia warunków bytu. Zorganizowano im specjalne transporty. Pojechaliśmy i my. Naszym punktem docelowym był sowchoz *Zaria Komunizma*, czyli Zorca Komunizmu, odległy o dwa kilometry od miasteczka Piatichatki, w którym mieścił się spory węzeł kolejowy (to inne Piatichatki niż te pod Charkowem, w których jak wiadomo znajdują się mogiły pomordowanych oficerów – część ofiar zbrodni Katyńskiej).

Podróż trwała długo. Jechaliśmy okreśną drogą, transport często się zatrzymywał, nie spieszył się. Mijaliśmy pola słynnej pancerne Bitwy Kurskiej. Jak okiem sięgnąć, po horyzont piętrzyły się czołgi. Podczas postoju Zbyszek i ja łaziliśmy po tych wrakach. To było niezwykle doznanie.

Po przyjeździe do *Zarii Komunizma* zostaliśmy ulokowani w czworakach, w jednym pokoju z kilku innymi rodzinami. Mój



Bohdan jako jedenastoletni woźnica

Boże, tam było ponad dwadzieścia osób! Spaliliśmy wszyscy na piętrowych narach – taka była owa „poprawa bytu”. Sam sowchoz *Zaria Komunizma* był gospodarstwem utworzonym z dawnego majątku ziemskiego. Za wysokim ogrodzeniem stał ziemiański pałacyk. Obecnie mieszkał w nim dyrektor sowchozu. Rzadko się go widywało, bo to było panisko! Wobec takiej elity my byliśmy prostymi robotnikami. Którejś jesieni zatrudniono nas ze Zbyskiem do

trzymowania drzew w przypałacowym sadzie. Ścinałiśmy gałęzie, ale do owoców nie mieliśmy dostępu. Stróż pilnował sadu z dubeltówką w rękę.

Przyjazd do Ukrainy oznaczał dla nas praktycznie rozpoczęcie samodzielnego życia. Ja miałem niecałe jedenaście lat, Zbyszek trzynaście. Nie chodziliśmy już do szkoły, za to pracowaliśmy zarobkowo. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej nie było mężczyźni i panował ogromny głód siły roboczej. Zbyszek wywoził zboże z kombajnów do spichlerzy, pracował przy zrywce drewna w lesie, przez jakiś czas pasał też stado młodych koni. Ja natomiast zostałem etatowym furmanem starszego agronoma, który w *Zarii Komunizma* był drugim po Bogu. Miałem do dyspozycji trzy konie, w tym dwa ogiery, które zaprzęgałem do bryczki, by zawieźć panią agronomową na bazar.

W stajni niepodzielnie rządził brygadzysta Suchyna, znany z tego, że umie kłaść jak nikt inny w całej okolicy. Jak puścił więzankę, to końca nie było! — *Job twaju mat!* — to mu szło gładko! Krążył taki wierszyk: *A w koniuszni Suchyna matom kryje, szczo kobyła czerwenije*. Prócz bryczki powoziłem też wygodną dwukółkę zwaną *bidą*, z dużą skrzynią bagażową z tyłu. *Bida* służyła agronomowi do dziennych objazdów pól, od wiosny do późnej jesieni. Objężdżaliśmy między innymi *bachtany*, czyli pola z *ka-wonami* (arbusami) i melonami. Pilnował ich z flintą w rękę specjalny stróż. Kiedy agronom przyjeżdżał, ów stróż uwijał się po polu, opukiwał melony, poszukiwał najładniejszych, po czym łądował je na *bidę*. Taki melon świeżo zerwany z pola jest przepyszny. Mnie się zawsze dostało przynajmniej po jednym arbusie i melonie.

Moja pensja furmana wynosiła sto dwadzieścia pięć rubli – najwyższa i w gruncie rzeczy jedyna gaża w całej rodzinie, ponieważ pozostali pracowali na akord. Ile to było w praktyce? Dwukilogramowy bochenek chleba na bazarze w Piatichatkach – tym samym, gdzie każdego tygodnia woziłem



Rubel – pamiątka z zeznania

panią agronomową – kosztował siedemdziesiąt rubli.

Natomiast jako pracującemu przysługiwało mi każdego dnia dodatkowo pół kilo chleba; według zasady, że *robotajuszczij poluczal piat'sot gram chlieba w sutki, a izżywnieniec* – czyli osoba na utrzymaniu – *paluczal dwiest'ie gram chlieba w sutki*. Przydziały były regularne, jakoś pieczywa straszna. W chlebie więcej było ziemniaków niż mąki. Po odebraniu mojej porcji z punktu, gdzie rozdawano chleb, zazwyczaj zjadałem swoje pół kilo w drodze do domu. W gruncie rzeczy to był mały kawałek chleba, tyle że ciężki, mokry od ziemniaków.

Agronom, Jakow Michajłowicz, polubił mnie. Mieliśmy fantastyczne rozmowy. Był znakomicie wykształconym rosyjskim inteligentem – przed zsyłką profesorem instytutu rolnictwa w Dniepropietrowsku – a przy tym bardzo przyjemnym i interesującym człowiekiem. Stanowisko profesora wyższej uczelni to w Sowietach bardzo wysoki status. Przewinienie Jakowa Michajłowicza było natury ideologicznej. Gdzieś klapnął coś *nieblaganadioznowo*, czyli nieprawomyślnego i skazano go na zesłanie do sowchozu. Niemniej pozostał oddanym, ideowym komunistą. — *Ja by chatiel wstrietitsia s taboj czieriez dwatsat' liet – kakim priekrasnym komunistom ty budiesz!* — przekonywał mnie. Zarzekałem się, że nigdy nie będę komunistą, ani za pięć, ani za dwadzieścia pięć, ani za pięćdziesiąt lat. Mam już tego po dziurki w nosie. Okazało się jednak, że to on miał rację, bo ja w końcu komunistą zostałem i to takim z przekonania. Dlatego, że pierwsza fala komunizmu, jaka mnie nawiedziła, to było z przekonania.

Młodszy agronom nazywał się Kowaliow. Miał dwójkę dzieci. One nie musiały ciężko pracować, tak jak ja. Zamiast tego chodziły do szkoły, normalnie. Starsza dziewczynka była już pannicą, patrzyłem w nią jak w anioła. A chłopak, Alik, był w moim wieku. Cała rodzina – *mladszij agarnowcow*, jego żona, kuzyna oraz dzieci – mieszkała w *asabniakie*, czyli osobnym domku. Kowaliowowie zapraszali mnie na wieczorki. Siadaliśmy wokół baniaczka. Kociołek kipiał, a z niego kap, kap, kap... samogon – bardzo mocny, siedemdziesiątka czy osiemdziesiątka. Bimber pędzono najczę-

ściej z buraków pastewnych. Gdy kubek krążył, dzieciaki też dostawały po łyżeczku. — *Na, Bohdańczyk, na!* — zachęcano mnie. I mogłem sobie pociągnąć. Ależ to śmierdziało! Pijąc zatykaliśmy sobie nosy. Potem prosili mnie — *No, Bohdanczyk, paczitaj paezju!* Czytaj Puszkina! Lermontowa! — Ja im czytałem. Bardzo to lubiłem. Było tam ciepło, podawali jakieś zarcie... To było wspaniałe.

Dla siebie czytałem cokolwiek było dostępne, czyli głównie literaturę rosyjską. Po-

szukiwał nas. Jeszcze przed wywiezieniem na Sybir otrzymaliśmy od niego korespondencję z niemieckiego Oflagu. Przysłał nam paczkę. W owym czasie jeńców wojennych (tych w randze oficerskiej) w Niemczech wciąż stać było, oczywiście z pewnymi wyrzeczeniami, na wysłanie rodzinie paczuszki. Potem kontakt się urwał.

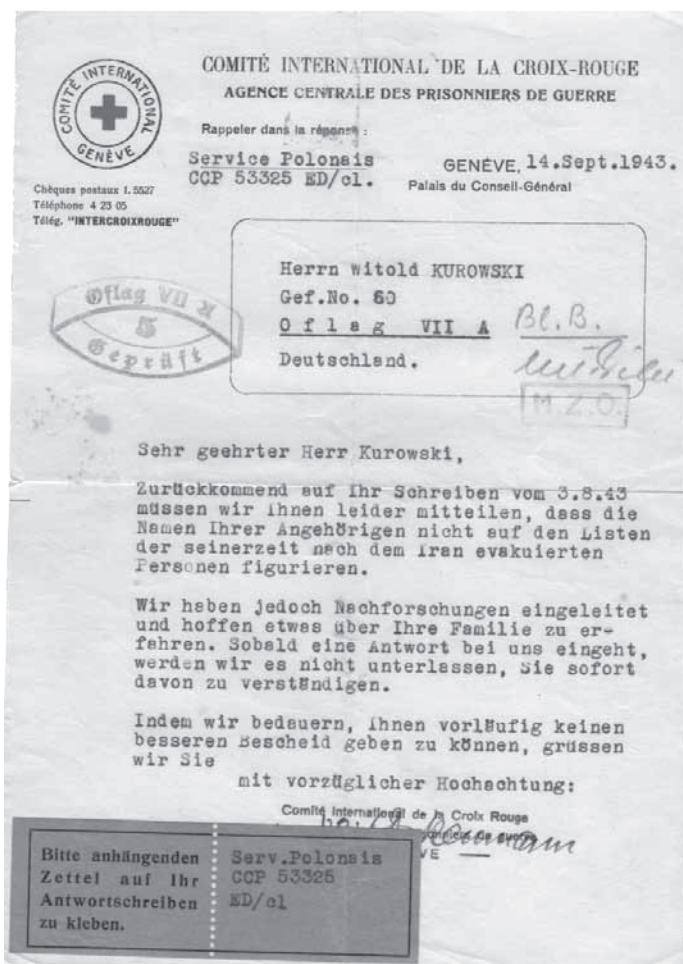
My wciąż pisaliśmy, matka wysyłała do ojca listy i karty pocztowe, po polsku, po rosyjsku, po francusku. Szły rozmaitymi drogami, jedna z Kazycyka na adres Oflagu, druga przez Moskwę, trzecia przez kogoś tam – w nadziei, że choć jedna z nich dojdzie. Na zachowanych kartkach widnieją stemple – swastyka obok sierpu i młota, *Gefangenen Post* obok *dozwolieno wojennoj cenzuroj*. Zachował się też niesłychanie wzruszający list matki do ojca.

*

Pewnego pięknego dnia przychodzi umyślny i powiada, że mama ma się zgłosić do dyrektora. To był mój *dien' wychadnoj*, więc zabrała mnie ze sobą. Doszliśmy do pałacyku. Były tam bardzo wysokie schody – takie, że ktokolwiek szedł do pana dyrektora, musiał po drodze odpowiednio kruszeć. Dyrektor wyszedł na owe schody, bardzo grzecznie się z matką przywitał, tytułując ją *Madam Kurowskaja*. Ona weszła do wnętrza, ja usiadłem na schodkach. Po niedługim czasie matka wraz z dyrektorem pojawili się u szczytu schodów. Dyrektor wezwał koniuszego: — *Suchyna, zapiehaj te koni, odwiezitie Madam Kurowskiju na stancju!*

Madam Kurowskaja! To

było niesamowite, ale okazało się, że matka została pełnomocnikiem obcego rządu na obwód dniepropietrowski. Nominacja wyszła od PKWN, który już się ujawnił. Oddziały ZPP pełniły faktycznie funkcję konsulatu, więc matka, jako przewodnicząca oddziału organizacji oraz konsul generalny, stała się urzędnikiem państwowym. Jej biuro umieszczono w Dniepropietrowsku. Personal składał się z trzech osób: mama jako przewodnicząca, następnie Leon Zelcer – znakomicie wykształcony przedwojenny inżynier, komunista-Żyd, który potem zmienił nazwisko na Zelczak (po wojnie przez wiele lat był dyrektorem Departamentu Przemysłu Ciężkiego w Ministerstwie Przemysłu); wreszcie pani Helena Łastowska, bardzo miła



List z Czerwonego Krzyża do Witolda Kurowskiego, który z Oflagu poszukiwał Zofii i synów

chłonałem sporą porcję *Wajny i mira*, całego Puszkina i Lermontowa, również Niekrasowa i Bułhakowa. Tego ostatniego mniej, bo był zbyt trudny. Nawet dziś trudno mi go czytać po rosyjsku. Szukałem literatury ukraińskojęzycznej. Ciekawe, że w bibliotece sowchozowej, skądinał dobrze zaopatrzonej, nie znalazłem ani jednego zbioru wierszy Szewczenki. To dowód, jaką tam prowadzono rusyfikację. Jedyną książką, którą przeczytałem po ukraińsku, był *Lycar Ivanhoe* Scotta. Zaczęto mnie angażować do przedstawień czy akademii w miejscowym domu kultury. Deklamowałem *paezju*, występowałem nawet w jakiejś sztuce.

Podczas zesłania mieliśmy sporadyczne kontakty z ojcem. On ze swej strony po-

osoba, która potem wyszła za mąż za Zeczaka (w 1968 roku oboje wyjechali do Izraela).

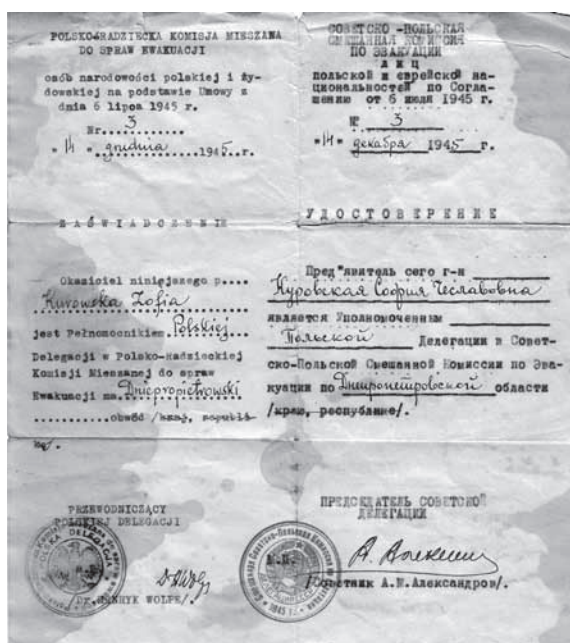
Samo biuro mieściło się w jednym z dwóch pokoi w hotelu *Astoria*, który do dziś jeszcze stoi na pryncypalnej ulicy Dniepropietrowska. Drugi pokój, przedzielony kocem na dwie części, służył za mieszkanie. Po jednej stronie koca spała mama – a w czasie odwiedzin i my – po drugiej Leon z Heleną, ponieważ ich od lat łączyła miłość. Niekiedy zatrzymywał się tu też brat Heleny, Łastowski – oficer łącznikowy, pułkownik Ludowego (już) Wojska Polskiego. Dniepropietrowsk to był *zakrytyj gorod*, czyli nie można było doń wjechać bez przepustki. W jednej ze swych pieśni żali się Wysocki: „*Nie puskaj, nie puskaj...*” – on chciałby tam, w Dniepropietrowsku być, ale go nie wpuszczają... Piękna pieśń. Miasto było zamknięte, ponieważ znajdowały się w nim zakłady produkcji rakiet. Leonid Kuczma, późniejszy prezydent Ukrainy, ongiś był ich szefem.

Biuro znajdowało się ponad sto dwadzieścia kilometrów od Zarii Kommuniżma. Zdarzyło się, że mama przysłała nam przepustki. Pojechaliśmy z Piatichatok po ciągiem, jak normalni obywatele. Przyjeżdżamy do Dniepropietrowska, a tu kompletny szok! Piękne, zadbane ulice, prawie nie zniszczone przez wojnę. Jako *zakrytyj gorod* miasto miało wspaniałe (jak na Sowiety) zaopatrzenie. Na ulicach – lody!!! Była dzielnica rozrywkowa dla dzieci, z kolejką w pięknym parku. My natomiast wyglądaliśmy jak łachmaniarze. Za obuwie służyły nam walonki obtoczone gumą z opony. Ponieważ konsul to przedstawiciel służby zagranicznej obcego kraju, pozycja mamy oddziaływała na miejscowe snobizmy. Przychodziły rozmaite zaproszenia, na przykład na premiery teatralne. Raz Zbyszek i ja poszliśmy z matką do teatru. Grano wtedy *Stakan wody – Szklankę wody* Scribe'a. To znana, bardzo sprawna sztuka. Zaprowadzono nas za kulisy, gdzie przywitaliśmy się z aktorami. Oni zmieniali właśnie kostiumy lub charakterystację. To było wielkie doznanie dla mnie, potem już zostałem fanem teatru na całe życie. Kiedy indziej wystawiano operetkę ukraińską *Natałka Połtawka*, troszkę podobną do *Halki*. Jedną z czołowych arii jest: *Kołyb ja buł połtawski sławnyj barin* – „Gdybym ja był słynnym panem połtawskim”. Bohater marzy: „założyłbym staw cały wypełniony wodą.” Przypomina to pieśń „Gdybym był bogaty” ze *Skrzypka na dachu*.

Zaraz po wojnie matka zajmowała się przede wszystkim organizowaniem transportów powrotnych do kraju. Trzeba było zarejestrować wszystkich Polaków z obwo-
du, tych wywiezionych. Zdarzały się sytuacje dramatyczne, ponieważ wielu Polaków, Ukraińców czy Żydów po wywiezieniu zmieniło obywatelstwo. Był zresztą przymus,



Zofia jako konsul, 1944 r.



Pełnomocnictwo Zofii do spraw ewakuacji

ale oni w ogóle nie podawali się za Polaków. Teraz chcieli wracać do Polski, ale Sowietci odmawiali im do tego prawa. Warunkiem powrotu było posiadanie polskiego obywatelstwa. Owi ludzie błagali matkę o pomoc, ale odzyskanie obywatelstwa nie było łatwe. Trzeba było o nich walczyć.

Mama miała do dyspozycji samolotki-awionetkę. Latała nim do Charkowa, rządziej do Kijowa. Wszystkie administracyjne sprawy Ukrainy zostały przeniesione do Charkowa, który tymczasowo stał się faktyczną stolicą Ukrainy. Mieściło się tam ukraińskie przedstawicielstwo PKWN, czyli urzędu matki. Ona wielokrotnie toczyła utarczki z władzami sowieckimi. Potrafiła wiele załatwić i pomogła licznym osobom w odzyskaniu

obywatelstwa. Związek Patriotów Polskich miał dosyć rozległe plenipotencje, jego przedstawicielstwa były traktowane przez Sowietów z należytą atencją. Pomoc była więc udzielana. Mama nieraz prosiła mnie o odwiedzenie adresów w okolicznych sowchozach – tam, gdzie mieszkali Polacy. Dostałem od przełożonych zezwolenie na to, by używać *bidy* agronoma dla potrzeb pracy mamy. Rozwoziłem papiery, formularze, oraz informację, co trzeba zrobić, gdzie się zgłosić. Wielu jednak obywatelstwa nie odzyskało. Dopiero w 1956 roku, za czasów Gomułki, otworzyła się możliwość powrotu do kraju i nastąpiła kolejna fala emigracji. Wielu wróciło dopiero wówczas.

Ogólnie w 1956 roku wróciło z Sowietów sto dwadzieścia tysięcy osób. Podejrzewam, że większość stanowili Żydzi, którzy zresztą potem wyemigrowali do Izraela.

1. UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration) – Administracja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy.

2. Według danych dostarczonych przez rodzinę Jaroszewiczów, Ankę skierowano nie do fizylierek, a do łączności.

Źródła: nagrania i dokumenty pozostawione przez Bohdana Kurowskiego.

Spisanie oraz redakcja tekstu:
dr Joanna Kurowska